ADOLF NOWACZYŃSKI

# WILHELM-IMPERATOR

## 1888—1918

9 LISTOPADA

1928

Druk i nakład:
Śląskie Zakłady Graf. i Wydawnicze „Polonia" Sp. Akc., Katowice

EX LIBRIS
BS
BIBLIOTEKI ŚLĄSKIEJ W KATOWICACH

113 i

ADOLF NOWACZYŃSKI

# Wilhelm - Imperator

## 1888 — 1918

9 listopada

Druk i nakład:
Śląskie Zakłady Graf. i Wydawn. „Polonia" Sp. Akc., Katowice
1928

50

HIII 8b

Stadtbücherei Bromberg

Unieważnia się

417970

I

K 77/6847
8.6. 40,-

Biblioteka Śląska

Panowanie ostatniego z Hohenzollernów Wilhelma II. należy już bezapelacyjnie do zamierzchłej przeszłości do wieku XIX. i jako takie może być już dziś wyłącznie objektem naukowym, przynależnym do wiedzy historycznej. Dziesięć lat będzie coś mijało od momentu, gdy szpetnie, nikczemnie i tchórzliwie, ratując swój cenny żywot, uciekał nocą do Holandji, grzebiąc na wieczne czasy dynastję i monarchję. Ten „Napoleon" nie będzie już miał swoich stu dni, z wygnania nie wróci i swego kaftanu bezpieczeństwa już ze siebie nie zerwie. Może być jeszcze tylko przedmiotem badań i studjów, aczkolwiek i w tej dziedzinie powiedziano już o nim mniejwięcej wszystko. Temat jest omal definitywnie wyczerpany.

Trzeba przyznać, że temu schyłkowemu i zwyrodniałemu okazowi regenta poświęcono dużo piór i papieru, czego rezultatem jest możność wyrobienia sobie już dzisiaj pełnego nietylko wyobrażenia, ale i pojęcia, wprost naukowo stwierdzonego, jak również i o całej nicości tej wielkości i o całej kolosalności tragikomedji mizernego potentata władcy.

Ostatnio zaczęto w Polsce czytywać reklamowaną monografję, bardzo dziś popularnego w Niemczech feljetonisty Emila Ludwiga C o h n a. Zdolny

ten następca i naśladowca Brandesa dał kolejno kilka sprytnych monografji wielkich ludzi jak np. Bismarcka, Napoleona, ostatnio z dość bezczelnym tupetem „monografję“ Chrystusa, co wszystko rozdęte przez Jerychończyków, cieszy się wielkiem wzięciem. Szkapą, na której Emil Ludwig (Cohn) wyjechał w świat po laury, był atoli Wilhelm II., któremu poświęcił Cohn dwa tomy. Ograniczać się tylko na wiedzy i objektywności tego Semity nie godzi się, tembardziej, gdy jest moc rzetelnych świadectw, dokumentów i dzieł innych. Aby poznać całość 30-letniego panowania najtrywjalniejszego ze suwerenów, trzeba przestudjować jeszcze inne źródła. Ważne są: Sidney Leego, sędziwego biografa dynastji Windsorskiej: monografja Edwarda VIII. Ważne: **„My early Lify“** księcia Pawła Lichnowskiego, jak i takież samego Wilhelma. Ważne pamiętniki księcia Hohenlohego w pełnem ich wydaniu jak i inne Bethmanna-Hollwega. Ważne są: Kautskyego 4 tomy **„Dokumente zum Kriegsausbruch“**. Ważna dalej korespondencja Wilhelma z Nikim (z Mikołajem II.), ważny ambasadora amerykańskiego w Berlinie James Gerarde: **„My four ears in Germany“** dalej 3-ci tom świeższy i dwa dawne Bismarcka: **„Gedanken und Erinnerungen“**. Trzeba też poznać cztery tomy Hardena: **Köpfe**, obersta A. Niemanna **„Kaiser und Revolution“** i Herberta Eulenberga monografję całej dynastji: **„Die Hohenzollern“**.

Polskich dzieł z tej dziedziny jest mało, ale odszukać należy K. Ehrenberga: **„Czasy Teraźniejsze“**, kompilację bardzo poważną z kilku dzieł angielskich (Gooche'a głównie) wydaną nakładem Orgelbrandów r. 1913.

Na podstawie tych dzieł, względnie jeszcze

wielu innych można już sobie wyrobić mocne i trwałe zdanie o długotrwale dziś i zdrowo w bezczynności i na emeryturze dogorywającym pustelniku z Doorn, któremu my jako naród zawdzięczamy bądź co bądź bardzo wiele, jeżeli się ułoży sylogizm, że gdyby nie było takiego Wilhelma, nie byłoby europejskiej wojny (o którą Mickiewicz się modlił), a nie byłoby takiej wojny ze zmobilizowaniem i wciągnięciem 45 narodów, to i nie byłoby państwa polskiego. Tacy bowiem regenci właśnie przygotowują jeszcze za życia swego lub dopiero w następnej generacji okoliczności i warunki wymarzone dla wyzwolin państwowych, narodowych mniejszości, pod takimi właśnie regentami państwowy byt swój konspiracyjnie najdogodniej organizujących. Tylko rozpętanie histerji takich anomalji rządzących pozwala Historji powoływać nowe szczepy i plemiona wasalskie do niezależności i pełnego państwowego bytu. Tylko obserwując z nizin zależności i podległości bezkarny autokratyczny szał takich Wilhelmów nabierają etniczne grupy państwowo-niezorganizowane odwagi i śmiałości do samoorganizowania się państwowego, widocznie łatwego, skoro ich państwo suzerenne nawet takich Wilhelmów takich „przeorów“, jako państwo, jako „klasztor” w myśl znanego przysłowia przetrzymać jest władne.

Dziś, po 10 latach od likwidacji cesarstwa niemieckiego, nie tak łatwo jest w pełni przypomnieć już sobie, co znaczył w Europie i na globie ten rezydent z Doorn, o którego obecnie już istotnie pies z kulawą nogą się nie zatroszczy, którego dziś nie odwiedzi już najpodlejszy reporter z najpodlejszego żółtego świstka amerykańskiego. Lat temu 14 krągło, ten dziś siwy, brodaty „ogrodnik“ i „cieśla” to

był istotnie **arbiter mundi, caesar, deus et omnia.** Tą także rzekomo marsową gębę z wąsami nastroszonymi w górę **(es ist erreicht)** znało z obrazków każde dziecko murzyńskie, chińskie, indjańskie. Bardziej plebejskiej popularności w masach mobu globu nie można sobie wyobrazić; z nimby się Charley Chaplin czy Dempsey mierzyć nie mogli.

W ankietach piśmideł amerykańskich: Kto jest najpopularniejszy? pierwszy raz, na pierwszem miejscu stanął Wilhelm w r. 1900, potem szedł Leon XIII., Krupp, Zola, Tołstoj, Ybsen, Marconi, Edison. Tylko ten ostatni przetrwał aż do teraz. W ankiecie „Chicago Tribune" w r. 1912 już byli i inni: Wilhelm, Carneggie, Rockefeller, Morgan, Edison, Ryszard Strauss, Shaw. Już w r. 1918-tym (ankieta „Worlda") na pierwszem miejscu był Wilson, Edison został, przyszedł Ford; Wilhelma już wykreślono z ludzkiej pamięci. Jak jednakże popularnym był w swem państwie **tempore billi,** jeszcze przed wejściem St. Zjednoczonych, to dość powiedzieć, że na konkurs hymnu cesarskiego z okazji jubileuszu 500-lecia dynastji przesłano 3.200 hymnów! Gdzie tedy mierzyć się z nim Chaplinowi lub innemu pajacowi historji? Ten Kaizer, ta ordynarna sylweta o pospolitej twarzy feldwebla otoczony był przez całe 30-lecie objawami takiego respektu, jakiego dzieje nie znały. Tam, gdzie on nadjeżdżał, Bóg (niemiecki) zmieniał dżdżystą aurę na pogodę cudowną **(ein Hohenzollernwetter).** Jego powiedzenia, motta, wersety szły na cały świat: **Deutschlands Zukunft liegt auf dem Wasser** (Sodawasser?)! **Völker Europas wahret eure heiligsten Güter!** (przed Chińczykami! Idjot!) **Es ist erreicht! Es ist erledigt! Flaumacher dulde ich nicht! Durchhalten! Maul halten!** itp. Nie było punkciku na mapie

Niemiec, nie było pokoiku, izby, stajni, sali, hali, gdzieby nie było podobizny, wizerunku, odlewu, figurynki tego typu, w którego fizycznej sylwecie kochał się każdy poddaniec. Rzecz zdumiewająca, co znaczy masowa hypnoza: Niemcy widzieli w tej pospolitej tuzinkowej sylwecie idealny kształt i obraz suwerena. Przez lat 30-ci 60-ciu miljonom nikt nie byłby w stanie wytłómaczyć, że to dutzendware, tandeta. Że mógł być kult Waszyngtona fizycznego, to zrozumiałe, Aleksandra I., II., III. zrozumiałe, że Edward VIII. był arcytypem grandseigneura, stary Wilhelm wielkiego pana, Elżbieta angielska wielkiej monarchini, Jan III. rasowego Sarmaty, na to zgoda. Jak trudno atoli niewtajemniczonym dopatrzyć się monumentalności w fizys dryndziarza czy dwornika, tak trudno było nie-Niemcowi dostrzec majestatyczność w tej fizyognomji kelnerskiej z wąsiskami nastroszonemi do góry, kopjowanymi potem przez paryskich Alfonsów. Gdy atoli w mundurze prezentował się autokrata z pod Berlina jako tako, cywilne ubranie, kilkakrotnie podczas wojny uwieczniane Kodakami, demaskowało go jako typowego włamywacza-cambrioleura, który się minął z powołaniem i zamiast rozbijać kasy i pchać ofiarom sztylet w plecy, rządzi wielkim narodem, niemieckim narodem der Dichter und Denker. W cywilu nic nie miał Kaiser ni ze szlachcica pruskiego, ni z rzymskiego Marsa. Dopiero napstrzony gwiazdami i rozetami paradewaffenrock i buzdygan w łapie z fizycznego cherlaka i **„man of street“**, z „numera w tłumie robił marsową pałubę, przed którą padał na pysk wniebowzięty motłoch.“

Takiego bowiem byzantynizmu, tak płaziego płaszczenia się Unterthanów, takiego **„Kadaverge-**

**horsam"** tych **„Bedientenseelen"**, takiej admiracji i adoracji, jeżeli już nie było gdzieindziej potem, to w każdym razie nigdzie nie było przedtem. Mużyki kałmuckie umiały ryć mordami w piasek przed Carem, ale bywało, że potem wstawały na kopyta i Batiuszce zaczynały urągać na per ty o to i owo, bywało, że z alteracji odbiło się im w głos na audyencji w Gatczynie, a poddaniec jeden z drugim nawet nie przeprosił. Przeciętny Niemiec Wilhelmowski tracił oddech i głos w krtani przed Kaizerem patrząc mu w oczy jak kundel, który ma aportować kawał cukru z dna kloacznego dołu. Stuprocentowi rojaliści angielscy, obserwując objawy takiego lokajstwa wobec siostrzeńca J. K. Mości cesarza Indji, spluwali z obrzydzenia; miljonery amerykańskie zaśmiewały się, a jeden „król konserw" świńskich, zaproszony na regaty cesarskie do Kiel **coram publico** klepnął Majestat kilka razy w plecy, żeby czarno-wyszlussrockowaną wpół zgiętą czeredę doprowadzić do przytomności i ludzkiej godności. O takim byzantynizmie my jeszcze nie mamy wyobrażenia... „Kudy nam do Manowskoj!"... Hurra! Hurra! Hurra! ryczały tłumy, gdy „Unter den Linden" sunęły rzędem samochody... puste, ale z czarnemi orzełkami. W hotelach alpejskich i w pałacach nowych magnatów industrji z pietyzmem przechowywano **„nacht - pokale"** z **„nacht - castla"**, których raczył używać „Majestat" za swojej kilkagodzinnej najwyższej bytności... **„Auf diesem Sopha sass S. Majestät den ... Januar im Jahre ... von eli bis zwölf"...**

Byzantynizm ery Wilszelmoskiej podsycał reptilienfond w prasie. Porównywano Wilhelma to z Barbarossą, to z Charlemagnem no a przedewszystkiem z... „Siegfriedem"... Wagnerowskim

Sygfrydem. W taki typ pół-inteligenta na tronie, garsony i piccola z prasy dyspozycyjnej zwykle wmawiają, że jest czyjemś „przewcieleniem". W Napoleona III. wmawiała kanalja bulwarowa, że jest reinkarnacją Napoleona I., a Badinguet to łykał. W Mikołaja I. serwilizm biurokratyczny wszeptywał, że powinien być „biczem Bożym" na rewolucyjną Europę. W Wilhelma-Wyskoczkę wmówiono, że jest, że będzie „Siegfriedem".

Na początku nie chciał się zgodzić na to. Jako kronprync naczytał się Mommsena. Podobały mu się tylko imperatory; Wespazjan, Galba, Domicjan, Konstantyn, wszystko jedno który, byle imperatory. Takie piękne cytaty: **Quos ego! Oderint dum metuant.. sic volo sic jubeo.** On, bożyszcze kaprali chciał być bożyszczem legjonów rzymskich. Pułki pruskie muszą przypominać legjony Cezara. **„Der alte Mommsen hat Talent".** Ale sforom pochlebców ta romańsko-imperatorska poza nie konwenjowała. Pochlebcy i dworacy, dostający ordery i kości od stołu pańskiego do obgryzania, mają swoje grymasy i widzimisię. Oni chcą, aby majestat był przewcieleniem, ale swoich praszczurów: śmiałych i **chrobrych,** ale swoich: **teutsch! teutonisch, urgermanisch.**

Tymczasem Majestat w niczem nie przypominał ani Galby ani Viteliusza, tylko **ausgerechnet** „Siegfrieda" z Nibelungów... (Rheingold...)

Tę głupowato-romantyczną, średniowieczno-muzyczną manję podsycał jeszcze na całego, Anglik, całe życie udający łudząco Prusaka, syn kapitana okrętowego, Houston Stewart Chamberlain, wagnerzysta, którego Król Duch Wielkiej Brytanji odkomenderował do Berlina i do Beyreuth, aby tam swoimi kazaniami i książkami rozpalał do czerwo-

ności **furor tentonicus,** żeby potem w rozstrzygającej rozprawie można było flotę wojenną niemiecką wysłać na dno oceanów. Łakomca i chciwy łykacz komplementów uwierzył Wilhelm naiwnie w pragermanizm i w pangermanizm Chamberlaina. Stał się jego elewem, wyznawcą rasowej „Herrenmoral". Trąbki automobilów cesarskich grały odtąd „motyw z Siegfrieda" aż i doszło w r. 1915 do „linji Siegfrieda" na froncie francuskim, do Marny i do Wersalu.

Byzantynizm Wilhelmoskiej ery podsycały dalej nędznego typu literaty-lizusy potęgi (Wille zur Macht): Ganghofer, Herzog, Skowronek, Kaethe Schirmacher i t. p. bagaż. Dużo marek szło na amerykańskich pressboyów i na paryskie rogówki-bulwarówki (Matin). Dużo zawinił w podsycaniu byzantynizmu Sven Hedin, przez Kaizera ostentacyjnie obkadzany. Bardzo mały opór byzantynizmowi stawiali socjaliści, po śmierci Bebla sflaczali, zatyli, piwskiem Aschingera zalewani, brzuchacze takiesame jak i kleinbuergerzy, cieszący się z poczytności „Vorwaertsu", pyskujący, co wlezie w parlamencie, rozchodzący się do domów w porządku, kiwający palcami w butach dobrej mechanicznej roboty. Czasem się tam i te Scheidemanny, Müellery, Noski no a głównie semity gorąco kąpane niby i oburzały na to „wznowione średniowiecze", na ten rozwścieklony militaryzm, na tego kapitana z Koepenicku, na to pomiatanie „civil bagażem", na Polizeistaat i błazenady cesarskie, ale, że piwo było tanie a wurszty też niedrogie, więc i ustrój cezaryczny stał się im „wurst". Udawali opozycję, żeby coś wytargować, wycyganić i uspakajać proletarjat; w gruncie rzeczy z Kaizerem było im dobrze, zwłaszcza, że Kaizer raz na dwa lata zwierzał się któremuś, że i on jest „socyalist".

Największą atoli ostoją i podporą Wilhelmoskiego regimu absolutystycznego i Kaizeroskiej dyktatury byli żydzi, berlińscy, frankfurccy, hamburscy no i... wielkopolscy. Armia i żydzi. Ale przedewszystkiem żydzi. Dlatego to i monografia Emila Ludwiga (Cohna), pozornie surowa i potępiająca, w gruncie rzeczy pełna jest „objektywizmu", niedomówień, przemilczań i... suum cuique. Oddać cesarskiego co jest cesarzowi, a co żydowskiego żydom. Wilhelm był regentem w gruncie rzeczy dla nich wymarzonym, wedle serca i duszy i planów i businessów. Nie trzeba nigdy dać się łudzić t. z. liberalizmowi, humanitaryzmowi i wolnościowym popędom i instynktom narodu wybranego. Normalnie, dekoratywnie, w druku, na estradach i katedrach heroicznie liberalni, postępowi, radykalni, obrońcy wszystkiego, co uciśnione... od święta..., na codzień i w życiu praktycznem i w masie gotowi są realnie podeprzeć każdy absolutyzm i autokratyzm, soldateskę i terror, o ile tylko ten ich nie dotyczy, o ile ich interesy na tem nie cierpią, o ile oprymowanymi są autochtoni. Gdyby był Carat uczynił im wielkie koncesje, byłby Carat istniał i nadal a oni graliby w Caracie po Niemcach zaraz na drugich skrzypcach. Na meksykańskich generał-gubernatorów zamachami bombowemi nie reżyserują, bo tam prześladowani są autochtoni-katolicy. Z amerykańskim nacyonalizmem się godzą, bo Ku-Klux-Klan — głównie skierowany przeciw czarnym i papistom. Niema tak brutalnej dyktatury, którejby nie podpierali, o ile ostrzem jej ucisku dyrygują oni i oni wskazują palcem kogo mordować, kogo oślepiać, kogo więzić.

Kajzeryzm Wilhelmoski był żelatyną, na której

rozrosły się potężne domy i firmy żydowskie Środkowej Europy. Od momentu, gdy antysemicki pastor Stoecker usunięty został z dworu berlińskiego, dynastja Hohenzollernów stała się dynastją... Jerozolimską. Złożyło się na to wiele czynników. Przedewszystkiem bezsprzecznie olbrzymi wzrost i rozkwit gospodarczy. Świetne konjunktury. Zawrotne tempo industrjalizacji. Handel zamorski. Uzyskanie kolonji: Kiau-Czau, Kamerun, Togo, Wyspy Karolińskie. Flota handlowa. Olbrzymy komunikacyjne. Rozbudowa portów. Sieć kolejowa rozwinięta. Bankowość. Chemja. Raiffeisen. **Herrliche Zeiten! Herrliche Zeiten!**

Do współpracy i współdziałania w tem wszystkiem „Caligula" nie jeno dopuścił, ale uprosił, wezwał semitów najgoręcej. Były lata, w których autokrata Bramarbas nie wychodził z bankierskich pałaców. Ze starą, solidną junkierską szlachtą raz po razu był na bakier. Plan kanału Elba-Ren rozwścieklił pruską szlachtę. Przeciw polityce marokańskiej, awanturniczej, prowokacyjnej, błazeńskiej najsurowiej wystąpili konserwatyści, w ich imieniu przeciw cesarskim wybrykom grzmiał Heydebrand; klown-prync, nieznoszący gromady żydów koło papy, klaskał Heydebrandowi ostentacyjnie.

Konserwatyści odstrychnęli się od Wilhelma już od momentu dymisji Bismarcka. Irytowało ich drażnienie carskiej Rosji, oburzały prowokowania Anglji, nie konwenjowała przyjaźń z Austrją. Nadto hałaśliwy, burszowski, komiwojażerowaty monarcha, tak niepodobny w niczem do dystyngowanego dostojnego dziadka, działał im poprostu na nerwy. Nie każda wysoka szlachta tak łatwo oswaja się z manierami batjarskiemi i z językiem kordegardy. Na niemiecką Hoch-adel nie należy patrzeć przez szkła

karykatur żydowskich „Kladderadatschów“ i „Simplicissimusów“. To w przeważnej części ludzie czystej rasy, świetnych manier i górnego o swem posłannictwie historycznem pojęcia. Bywały rody i rodziny, które wogóle na Anspachów, brandenburskich margrabiów patrzyły zawsze z góry jako na podrzędnych parweniuszów, którzy się dorobili rabunkiem, szwindlem, fałszowaniem dokumentów i pieniędzy. Są o tem liczne anegdoty, jak to Lynary, Dohny, Trachtenbergi, Schulenburgi traktowały „emporkoemmlingów“ Hohenzollernów. Stary Wilhelm im zaimponował ufundowaniem cesarstwa, młody Wilhelm całym swym stylem nachalnym, wszędobylskim drażnił poprostu. Arogancki stosunek do Bismarcka odstręczył jednych, awantury z kanclerzem Hohenlohem odsunęły innych, uksiążęcenie Buelowa zirytowało jeszcze innych. Tafelrunde i przyjaźń z notorycznymi homoseksualistami jak Fili Eulenburg oburzyła jeszcze innych. Dopełniły miary ostentacyjne fraternizowania się Wilhelma z wielkimi żydowskimi potentatami giełdy i przemysłu, z Bleichroederami, Goldschmied-Rotszyld, Mendelsohn-Bartholdy, Fürstenbergami, Ballinami itp. Szeroko opowiada o tem w pamiętnikach swych księżna Kitty Radziwiłł, z domu Rzewuska, kochanka Cecil Rhodesa, dziś stara „matrona“, patronessa bankierów z Wall-Street. Z biegiem lat z berlińskich pałaców wyprowadzili się na swe zamki i dwory wszyscy grand-seigneurzy meklemburscy, pruscy i „aus Ostelbien“, a na placu, na miejscu książąt Fürstenbergów instalowały się bankiery Fürstenbergi. Bywający w tych rodzinach Kaizerwillem w ten sposób zyskiwał pobłażanie a potem poparcie i przez palce patrzenie liberalnej prasy **Mosse- i Ullstein-verlagów.** Niby tam z czasem

miano mu do zarzucenia to i owo „impulsywne“ warjactwo a niepoczytalne wybryki „prinzipiell“ krytykowano. Teodor Wolff i Jerzy Bernhard między wierszami czepiali się i robili „witze“ i „szmoncesy”. W gruncie rzeczy przy Wilhelmie było najlepiej głównie im. Rozrastali się w bogactwie i potędze. Kruppów (von Bohlem-Halbach) zaczął usuwać w cień potężny twórca i organizator floty i marynarki handlowej, Ballin. Inspiratorami i instygatorami zakulisowymi i pośrednimi marokańskich awantur i prowokacji, od klapy i klęski w r. 1906 w Algesiras aż do wysłania kanonierki „Panther“ do Agadiru byli właściwie czterej bracia Mannesman, „robiący“ w rurach kanalizacyjnych obskurni geszefciarze. W latach ostatnich przed wojną konserwatywna szlachta niemiecka odsunęła się od cesarza Falstaffa zupełnie. Książę Blücher von Wahlstaat przeniósł się do Londynu i tam stworzył kuźnię, z której na pajacującego paplę z Potsdamu szły najbardziej zatrute groty. Usunął się także stary sędziwy książę Henckel von Donnersmarck po ostrej scenie, w której miał zwymyślać monarchę Katotonika po staroprusku, ostatniemi słowami „oddając się do dyspozycji“. Z najbliższej rodziny usunęła się teściowa kronprynca, W. Księżna Anastazja na stałe do Monte-Carlo, gdzie wspólnie z rodzoną siostrą wielkiego kabotyna, księżną Schaumburg-Lippe (Zubkowową) rozpuściły buzię na całego, wykpiwając „Siegfrieda“ przed towarzystwem angielskiem, francuskiem i rosyjskiem, ile wlezie. Herzog v. Münster wyjechał na godzinę przedtem ze swego zamku, gdy cesarz zapowiedział się z wizytą, rodzony brat zaś, grossadmiral, sympatyczny książę Henryk Pruski przez trzy lata nie rozmawiał z cesarzem i w Berlinie się nie pojawił. Był zaś je-

den jeszcze dynasta, książę Max Badeński, radykał, który wedle pamiętników, ile razy wśród swoich wymówił słowo „Majestät", tyle razy dodawał do tego najobelżywsze epitety, roznoszone po całych Niemczech. Jak widzimy z tego, szlachta niemiecka miała twarde karki i przed grymasami i excesami wulgarnego „Miles Gloriosus" ugiąć się nie chciała. Woleli zejść niepoczytalnemu samochwalcy z oczu, woleli narazić się na szykany i ponosić szkody w interesach, woleli dać się wygryzać ze sztabu i dyplomacji na rzecz nowej szlachty i wysokiej burżuazji, ale takiemu regimowi takiego wulgarnego katotonika swojej aprobaty nie dali. Dopiero wybuch wojny i „encircling", okrążenie ojczyzny ze wszystkich stron, na nowo zespoliło ich z dynastją i z taką głową tej dynastji. Dopiero jako „der oberste Kriegsherr" zdołał ten „blaszany żołnierz" na nowo związać ze sobą warstwę, która nim gardziła, ale jako symbol swój i gwarancję utrzymania swego stanu posiadania tolerować musiała.

Aprobatę swoją natomiast dawało mu całe niemieckie i sąsiadujące z Niemcami żydostwo. Poza doskonałymi geszeftami najprawdopodobniej liczyło na to, że tylko taki czynnik nieobliczalny na tronie długie lata panując, zdoła wreszcie i tron i ustrój monarchiczny definitywnie ośmieszyć i zdyskredytować aryjską supremację w Niemczech. To jedno. A drugie: obserwując, że taka polityka, z rozwydrzonego militaryzmu, z kultu siły i pięści, potrząsania mieczem, ciągłego jątrzenia, mącenia i grożenia Europie idąca wcześniej czy później do wojny ogólnej Arjów z Arjami doprowadzić musi, wiedzieli, że każda wojna, gdziekolwiek toczona przy najmniejszym procencie strat w pole-

głych (jak uczy doświadczenie wiekowe), im tylko największy procent i złota i wolności obywatelskich przynosi. Jak wszędzie i zawsze, wcześniej i później, tak i w Niemczech i gdzieindziej militaryzm rozpętany nie tylko nic im nie szkodził, ale wróżąc olbrzymie profity jako deckerom i kriegsgewinnerom dawał wodę na ich młyny i szanse, jako jedynym, zawsze wygrywającym. Wysyłając pacyfistów na estrady i kongresy, równocześnie, zawsze i wszędzie nietylko tolerować będą, ale nieznacznie, z boku, wszelkie odmiany Wilhelmów wszelkiemi siłami i wysiłkami podpierać i podniecać, ufając dogmatowi historycznemu, że z krwawych rzezi i bratobójstw rasowych, narody wychodzą zawsze tak czy owak pobite, zwycięskie zwyciężonymi. A tylko „międzynaród" z hekatomb trupów wyciskać umie szczere złote złoto.

Charakter osobisty Wilhelma dawał im wszelkie gwarancje, że taki suweren, ośmieszając doszczętnie purpurę, gronostaje, berło i koronę, równocześnie wcześniej czy później, jeżeli nie dla tej generacji i za swego życia, to dla następnej, wojnę przygotować musi. Cała gra międzynarodu, cała wspaniała, djabolicznie sprytna i perfidna gra międzynarodu i wszelkie jego manewry taktyczne polegają wtedy na tem, aby niezbyt oficjalnie i całkiem niedemonstracyjnie a jednak moralnie i materjalnie pomagać autokracie, choćby tak paranoicznemu jak Wilhelm w rozpętaniu przezeń wiary tylko w miecz, pięść i bat, ażeby po latach w dzierżycielach tego miecza i bata, po wytworzeniu się psychozy agresywnej, napastniczej, zaczepnej, musiało nastąpić wyładowanie potencyalnej mocy na zewnątrz albo na wewnątrz, w wojnie poziomej

lub pionowej, domowej lub zewnętrznej, wszystko jedno jakiej, bo zawsze zyski przynoszącej tylko i wyłącznie... międzynarodowi. Lepiej oczywiście jest, gdy nagromadzona megalomanja, potęga fizyczna i szał siły znajdą ujście i wylew nazewnątrz, lepiej gdy każdy wielki radaumacher, mąciciel pokoju, bezrobotny i znudzony pokojem conquistador, landsknecht o mózgu przeżartym wojowniczością i swoim urojonym genjuszem wojennym tak gorliwie i systematycznie pracuje i mozoli się nad odosobnieniem moralnem swego państwa i takim go otoczy pierścieniem zdenerwowanych i rozwścieklonych sąsiadów, że wreszcie na wszystkie strony ku wszystkim granicom wycelowane armaty zaczynają strzelać same... od słońca.

Kaizerwillem nad takiem odosobnieniem Niemiec w świecie pracował żarliwie przez lat trzydzieści, od samego początku. Mozolił się kabotyn i nowocześnie, telegramami, wywiadami, listami i mowami. Nie zbrojenia, gwałtowne nawet, nie kredyty wojskowe, nie budowa floty wojennej, same przez się, lecz to ustawiczne protzowanie tem wszystkiem, pyszałkowate trzęsienie szablą, ciągłe pogróżki, udawanie gotowości, fanfaronady i poprostu pyskowanie militarystyczne doprowadziły wreszcie do 1914-tego roku. Od pierwszego momentu, od wstąpienia na tron i odezwy do wojska, łaszącej się, przymilającej i pochlebnej, zawsze, ciągle i stałe upajanie się potęgą armji, „mojej armji“ i swojej misji i wielkości. Niedouk i nieuk, ignorant i dyletant w wojskowości, osławiony w kołach fachowców analfabetycznemi odezwaniami się, kompletny laik na manewrach, po cichu wyszydzany tchórz, **valereux poltron,** który tyle razy podczas wojny „upadał na duchu“ skamlał defetystycznie, zawsze

doradzał najgłupiej, krył się w Pless-Pszczynie na zamku tygodniami, bohater okazały ma rewjach, wprost cierpiący na **Paradegier** i odbieranie defilad z grzbietu oswojonej z trąbami, bębnami i piszczałkami szkapy, w gębie był wodzem i strategiem, jakiego kula ziemska nie widziała. Niewielu było na świecie takich bombardjerów i „Haudegenów" którzyby tak uwierzyli ślepo w własne zakłamanie, jak ten Wotan z suchą ręką. Głód reklamy i „pochlebnych wzmianek" pchał go do ciągłych wystąpień i popisów, wykazujących jakąś wprost plugawą aktywność kupca na dorobku, reizendera rojalizmu. To telegram głupi i nietaktowny, to wywiad wrzaskliwy i nałgany, to wreszcie te nieskończone chroniczne paplania i gadaniny. Rodzina, rząd, kanclerz, parlament, dynastje niemieckie wprost truchlały za każdym razem, kiedy ten strateg od siedmiu boleści, wódz bitw nieistniejących, miles gloriosus i arbiter mundi otwierał paszczę. Primadonna musiała zawsze powiedzieć coś „piorunującego", całemi dniami i nocami obmyślała swe głupawe „knalleffekty" i „bomby" byle tylko dostać dzikie brawa za nowy „coup de theatre". Kabotyn w każdej fibrze plótł, przeżuwał i bredził, co mu ślina na język przyniosła „wie ihm der Schnabel gewachsen", zawsze w stylu atlety, zawsze z egocentrycznością byka rozwierzganego za swoim ogonem, zawsze: ja, mnie, mój, moi, moim..., moje, ja..., zawsze jako der Oberste Kriegsherr: „Ja przyjmę serdecznie tych, którzy mi dopomogą, zdepczę tych, którzy mi się sprzeciwią" (cytata w Ehrenberga „Czasach Teraźniejszych") ...„Jest tylko jeden pan i, ja nim jestem, nie zniosę obok siebie nikogo" ...„Nie znam i nie chcę znać partji, znam tylko Niemców" (Mowa w Essen) ... „Moja siła, moje prawo" i t. p.

Dość wcześnie, bo już w r. 1906 doszło do tego, że kiedy podczas wojny z Hererami w Afryce, parlament, karcąc kabotyna-despotę skreślił 5 miljonów z budżetu budowy kolei w kolonjach, niepoczytalny degenerat miał czelność w liście do ministra spraw wewnętrznych o posłach opozycjonistach, (oczywiście nie o parlamencie), użyć słów: „freche Buben". W Europie nietylko Zachodniej, ale i Środkowej takich epitetów nie tolerują. I, choć to potomek Hohenzollernów, praprawnuk Fryderyka Wielkiego, wnuk cesarza Wilhelma, z dynastji pięćsetletniej, naczelny wódz armji całkiem serjo, choć sam z impulsami pajaca, po łapach dostał. Żydy jak zwykle udały, że ich niema. W imieniu Katolickiego Centrum Eugen Richter zastrzegł się przeciw niepoczytalnościom i polecił kanclerzowi, żeby coś podobnego się nie powtórzyło. Nadto niektóre oracje des Obersten Kriegsherrn wprost konfiskowano, inne bzdury rozgrymaszonej lub rozwścieczonej primadonny dawano pokiereszowane, a po słynnie głupim wywiadzie Wilhelma w angielskiem piśmie, kanclerz Buelow na kategoryczne żądanie parlamentu musiał wydobyć od rozdokazywanego despoty zobowiązanie, że odtąd żadnego politycznego telegramu Majestat bez placet kanclerza nie wyśle, a oracje blaszanego wodza i arbitra mundi będą cenzurowane jeszcze przed wypaplaniem.

Tak to sobie jednak nawet w tym serwilistycznym rzekomo Polizeisztacie, gdzie monarcha protestancki był zarazem głową kościoła ewangelickiego, poradzono z królem, który „z gęby zrobił cholewę" i wybrańców ludu, posłów miał zuchwałość nazwać: „zuchwałymi chłopakami", co ostatecznie obelgą nie jest, ale w Europie uchodzi za deminutivum. Przebaczono mu plecenie „moi oficerowie",

„meine Totenhuzaren“, „mein Kyffhauser” zamiast „unsere“, ale linją po palcach oberwał cesarz potężnych Niemiec, gdy w prywatnym liście bąknął bezsensownie o przedstawicielstwie ludu.

To też często po gaskonadach piorunujących, w których otwierał zlew swego krasomówstwa, w których pluł i groził Alzatom lub „straszył“ Polaków, że „potrafi być nieprzyjemnym“ dla **freche Slaven,** widząc i czytając, jak fatalne wrażenie robią te monologi na intelektualnej elicie narodu, dla odmiany w następnej oracji starał się być mileńkim „przyjemniaczkiem“. I wtedy znów skamlał lirycznie, lizusowato, sentymentalnie, patrjarchalnie jako „pierwszy sługa swego państwa“, „biedny dziedzic z Rominten“, skromny pater familias „oszczędnych Hohenzollernów“. Albo znowu, trzepnięty po łapach przez parlament, wystrofowany i zbesztany przez kanclerza, na jakiś czas przykucał w kącie, udawał „milczka“, zaczajał się, ale knuł w cichości zemstę przedewszystkiem nad korporatywną reprezentacją „zdradzieckiego motłochu“, nad parlamentem, w którym w głos **coram populo** krytykowano jego clownady. Ta niezapoznana miernota nigdy bowiem nie miała dość laurów, bobków i aprobaty. Drażniło ją do obłędu to, że jednak są w narodzie niemieckim pewne grupy i to bardzo godne, które nietylko nie wierzą w jego genjalność i w jego posłannictwo od Boga dane („Völker Europas!“), ale wprost przeciwnie, patrzą nań z przerażeniem, jako na szaleńca, który dostał wyostrzony miecz w ręce, na awanturniczego dyletanta i na kompromitującego autorytet wzrastających w imperjum Niemiec gadułę o nerońskich apetytach. To, że nie wszystko leżało przed nim plackiem, to, że w wielu oczach musiał czytać po-

wstrzymywane z trudem szyderstwo, to doprowadzało go do znienawidzenia całego narodu. Nie jest prawdą bowiem, że takie posępne drapieżne typy despockie kochają swój naród, który ich wyniósł na szczyty. Kochają tylko siebie, swoją reklamę i swoją legendę, a owczarnią gardzą, zdobywając się na momenty szacunku tylko wtedy, kiedy już słyszą pomruk niezadowolenia i nadchodzącą katastrofę (Paweł II). Wilhelm czyhał tylko na godzinę zemsty nad „zdradzieckim motłochem", tęsknił do tej chwili, kiedy swoje olbrzymie „dziecko"-naród będzie mógł skąpać „im Stahlbad", w kąpieli „hartu" i w morzu krwi. Mszcząc się za kilka upokorzeń, za lekcje uczciwości, za zamknięcie mu nieposkromionej paszczy, popchnął i wpakował Niemcy w piekło wojny, może nie wprost świadomie, w każdym razie pół i podświadomie.

Mściwość bowiem, zazdrość, zawiść i niewdzięczność bywają głównemi, niezatartemi barwami ciemnych, przeniewierczych dusz despotów. Ten Alkybiades pruski, ten degenerat wielkiego bądź co bądź rodu, jak karmił się głównie tylko podchlebstwem, tak poił się tylko zemstą. Troska o globową renomę i rozgłos, ustawiczny i niemilknący głód superlatywów, pochwał, gadanin o nim, wzmianek, notatek, sensacji, ciągłego mówienia o nim i zajmowania się jego osobą spać mu nie dawały. W operze zazdrościł braw Carusowi, na wyścigach jockejom, na manewrach generałom, a w polityce tym, którzy przed nim i bez niego stworzyli fundamenty niemieckiego państwa. Wszyscy piszący o „Bramarbasie" zgadzają się na ten prymordjalny rys jego „indywidualności" (wspólny zresztą wszystkim monomanom autokracji) t. j.:

niewdzięczność. Gdzieindziej, gdzie **statesmackerów** i zasłużonych mężów bywa wielu, dławiąca autokratę zawiść rozkłada się i wyczerpuje na **kolejnem** pomiataniu, obalaniu i spotwarzaniu całego szeregu zasłużonych dla państwa mężów, których władca-zwycięzca, **conqueror, przypadkowy pasożyt, wyrosły na czynach i zasługach innych,** zużywa, wysysa jak ośmiornica a potem niszczy. W Niemczech po r. 1871 był właściwie tylko jeden pater patriae, tj. Bismarck. Wobec żelaznego kanclerza stał Wilhelm jak gliniany pędrak, jak kosówka pod olbrzymim świerkiem, jak kanianka, czerpiąca soki z dębu. Bismarck mógł być kolosem w złem, ale był w każdym calu monolitem charakteru i woli, genjalnym w swym systemie politycznym, w inicjatywach, kombinacjach i konstrukcjach. Jako taki zasłaniał „wielkość" cesarza, robił go niewidocznym.

To też wdrapawszy się wreszcie na tron cesarski, powziął ten don Carlos à rebours odrazu łobuzerski plan pozbycia się wielkości, w której blasku i kręgu był pigmejem. Zawiść do Bismarcka oddawna dławiła ten charakter z gumy, z której się przyrządza kalosze. Długo tchórzył i rozważał, wreszcie rozmachał się i podszczuwszy nań sfery dworskie i sfory prasowe, usunął go jaknajniezgrabniej i najordynarniej. W robaczywej zaciekłości do takich drobiazgów się posunął, że orderami wraz poobdarzał wszystkich antagonistów Bismarcka, których dawniej nienawidził. A kiedy stary kanclerz wyjechał do Wiednia na ślub syna Herberta, wpłynął na dwór Habsburgski, że go tam nie przyjęto i zbojkotowano. Tyle parszywej mściwości było w tym typie, co się miał za **arbitra mundi.** I dopiero kiedy później się spostrzegł, jakie wrażenie

na uczciwych Niemcach robi tak niska i brudna mściwość, wysłał do Warzina na 80-lecie telegram znów z przesadną faryzejską pokorą (co jest też charakterystyczne u takich moralnie kalekich monstrów).

Telegram został bez odpowiedzi. Taki sam **nielojalny w każdej fibrze** względem wszystkich, potwarzami i szczuciem podchlebczej kamarylli za wielokrotną pomoc odpłacał wszystkim cesarskim doradcom i instruktorom. Jak zły, na wodowstręt zachorzały nagle buldog, najniespodziewaniej zmieniał najserdeczniejsze wylane wobec kogoś nastroje, by go po krótkiem szykanowaniu kwitować i odstawiać. Tak samo kończyło się z Hohenlohem, z Walderseem, z Caprivim, z Bethmannem-Hollwegiem. Wystarczyło, by prasa niemiecka lub zagraniczna (paryska szczególnie) zaczęła więcej zajmować się lub zgoła chwalić któregoś z ministrów, żeby już w czeluściach lisowilczej duszy tego Kaliguli-Katyliny w karykaturze wraz zaczęła się rodzić ślepa zawiść, poczem szczucie liberyjnej prasy, poczem „Sturz", upadek omal na sułtański sposób (posyłanie jedwabnego stryczka). Inscenizował cesarz pozorne konflikty ideowe ze swymi doradcami na to tylko, żeby mieć pretekst do usunięcia, poczem do eskamotowania i kradzenia pomysłów, pozornie zwalczanych. Z ukradzionych idei powstawały **„des Obersten Kriegsherrn"** sukcesy. A kiedy takie brutalne dymisje w stylu odprawy kamerdynerów, szczególnie złą krew robiły u solidnych Niemców, wywoływały chwilowo w dość szerokich kołach niesmak i obrzydzenie, wtedy Tartuffe decydował się omal zawsze na coś wzruszającego i wniosłego. Pielgrzymował do Jerozolimy, fotografował się ze wszystkiemi dziećmi jako wzorowy

burżuj, zwiedzał pompatycznie szpitale garnizonowe i „pochylał ojcowsko“ nad chorymi, kosztował zupę z kotłów żołnierskich, wygłaszał na którymś pancerniku podniosłe kazanie z cytatami z Ewangelji, fundował tam ołtarz, ówdzie witraże, klękał przed Bogiem... i aparatem fotograficznym. I wtedy ten zbir w koronie był najwstrętniejszy. Człowiek, którego na sekundę nie opuszczał demon pychy, człowiek, który widział tylko w sobie Salvatora a był swego narodu dopustem Bożym, karą i przekleństwem, człowiek bez dna transcedentalnego i jednej myśli metafizycznej, człowiek bez cienia wiary w przedwieczną i karzącą Wiekuistą Sprawiedliwość, człowiek jak hjena padliną, karmiący się tylko sensacją dnia, nigdy nad życiem przyszłem niezamyślony, bo myślący tylko o zemście, jednem słowem Barabasz i Judasz w pomniejszeniu, klękał dla **decorum, pro publico bono pro foro interno** przed Chrystusem, szydząc chyba w duszy z tego, że weń piorun nie wali. Klękał i bił się w piersi... przed fotograficznym aparatem, byle po ostatniej serji łajdactw moralnych i złoczynów na nowo zjednać sobie solidne elementy społeczeństwa niemieckiego. Człowiek to bowiem był do gruntu zakłamany i tak rozmiłowany w hipokryzji, w fałszywej grze, w grze fałszywemi kartami, że w roku 1910, odwiedzając króla Alberta w Brukseli pławił się wprost w serdecznem wylaniu i uczuciach przyjaźni, wiedząc równocześnie, że w sztabie generalnym najdetaliczniej opracowany jest plan w razie konfliktu z Francją przełamania neutralności i okupacji Belgji! I tak było zawsze i wszędzie.

Jak Bismarck, tak i cały szereg wygryzionych przezeń i szykanowanych potem generałów, ministrów, dygnitarzy chował w biurkach odręczne li-

sty despoty, właśnie **pełne najczulszych wyrazów sympatji i wdzięczności.** Nawet wuj Edward, pierwszy gentleman Europy, z którym się nienawidzili notorycznie, który kuzynem Wilhelmem wprost gardził jako człowiekiem w złym guście, źle pachnącym i o złych manierach, miał od Wilhelma plik listów angielskich, w których cesarz uważał się za... Anglika i postponował Niemców. Taki już bowiem pęd do mimikryzacji był w tym cesarskim kabotynie: wśród Amerykanów udawał Amerykanina, wśród artystów malarza i kompozytora, wśród literatów znawcę literatury, dla Turków był jedynym obrońcą Islamu, wśród arystokratów rosyjskich adoratorem caratu, wśród liberałów i żydów pluł i wydziwiał na Rosję ...hipokryta od stóp do głów, od rana do nocy.

Gdyby prywatny człowiek, zwykły śmiertelnik, **citoyen** miał w charakterze tyle obrzydliwstwa, w manierach tyle wulgarności, w powiedzeniach tyle fałszu i brutalstw, na sumieniu i honorze setną część takiego ustosunkowania, takiego **„Umgang mit Menschen"** i takiego rozstawania się z ludźmi jak ten... „Siegfried", tyle integralnej nieuczciwości względem rodziców, rodziny, Bismarcka, Capriviego, Hohenlohego, Walderseego i tylu, tylu innych — słowo nie-gentleman byłoby najlżejszem jeszcze epitetem, w potocznej rozmowie dla jego określenia używanem. Tymczasem tu i ówdzie kryterja normalnej elementarnej etyki wobec wielkich ludzi, bohaterów narodowych i szefów państw podobno nie obowiązują; można w Meksyku nie być ni w jednym calu gentlemanem, być negacją normalnie uczciwego człowieka, z gęby zrobić kanał i ściek odchodowy, a jednak dostojeństwa osiągać i szczycić się mirem narodu, jak Huerta jak Calles. W Niem-

czech atoli, nawet w Niemczech cesarskich, tego dualizmu w kryterjach przeprowadzić się nie udało. Wcześniej czy później byłoby przyszło do momentu domagania się abdykacji, gdyby ten czynnik niepoczytalny i nieobliczalny był dalej rozwijał swe metody, manje, passje i obłędy i gdyby sprowokowana przezeń wojna nie była go zepchnęła w tarpejską przepaść upadku i wygnania.

Nie można bowiem powiedzieć, żeby w cesarskich Niemczech nie było, mimo osławionego byzantynizmu i kultu **„des Obersten Kriegsherrn"** głosów oporu, sprzeciwu i protestu. I tam od samego początku byli tacy, co się na lichocie tej „pflanzy" z ogrodu Sans-Souci wcześniej poznali, którym ten łopian nie pachnął, którzy w tym rozdętym pęcherzu próżności nie dostrzegali ani jednej uncji elementu wielkości, którzy od samego początku przestrzegali przed tym politycznym **improwizatorem,** nic nie mającym w sobie z imperatora a wszystkie cechy uzurpatora, parwenjusza władzy, samozwańczego pomazańca z przypadku... I choć Niemcy uchodzą niby za rasę serwilistyczną, za **„Bedientenvolk"** (Kadavergehorsam) trzeba przyznać, że nawet wobec tego reprezentanta dynastji, 500-lat trwającej, pluć sobie w twarze i w kaszę nie pozwolili, godności ludzkiej i narodowej się nie wyparli i swemu karłowi na szczudłach, „Wielkiemu z urojenia" verba veritatis walili. Coprawda w cesarskich Niemczech nie było to połączone z takim ryzykiem, jak np. w republikańskim Meksyku.

Za reprezentatywne postacie antykajzeryzmu można uważać przedewszystkiem księcia Pawła Lichnowsky'ego z Kuchelny (z G. Śląska), profesora Quiddego z Monachjum, karykaturzystę Tomasza Heinego i publicystę Maksymiljana Hardena,

recte Maks. Witkowskiego, redaktora „Zukunft". Lichnowsky to dyplomacja, Quidde to nauka, Heine to sztuka, Harden ... no to trudno określić jednem słowem, gdyż na ten głos opozycyjny składało się wiele składników chemicznych, czystych i mniej czystych, zaczem tembardziej w tym wypadku frapujących.

Książe Lichnowsky, magnat ze starego rodu, którego ojciec grał dużą rolę w wolnościowym sejmie Frankfurckim w 48-mym roku, był ambasadorem w Londynie. Anglofil, rusofil, bismarckista, dla dworu i dla rządu stał się z czasem barometrem nastrojów londyńskich i miał krzyżować Edwardowy plan „okrążania" Niemiec, zbyt gwałtownie pchających się na morze, zdobywających rynki eksportu na kuli ziemskiej i wypierających antycznych i staromodnych w handlu Anglików. Lichnowsky opponował tedy w imieniu racji stanu i normalnego rozwoju Niemiec przeciw zbyt gwałtownemu rozszerzaniu się, zbyt natarczywej ekspansji, przeciw brewerjom i clownadom Wilhelma, jakich bywało wiele (n. p. depesza do „Oncla Krügera" podczas burskiej wojny). W miarę rozwoju napastniczej megalomanji Falstafa z Berlina, ton referatów Lichnowsky'ego stawał się coraz bardziej kassandryczny. Gaduła z buławą marszałkowską lekceważył Nicholsona a Nicholson kręcił latami całemi pętlę, lasso na spętanie Papli. W miarę jak Lichnowsky stawał się coraz pessymistyczniejszy i stawiał sto na sto, że w razie konfliktu z Francją W. Brytanja skwapliwie skorzysta z okazji, żeby „pobawić się" ze świeżą flotą Bramarbasa, Bramarbas „admirał oceanu Spokojnego" coraz bardziej rozwścieklał się na Lichnowsky'ego. Z pamiętnika księcia ambasadora można poznać, jak przewidującym i dale-



Biblioteka Śląska

kowidzącym był patrjotą niemieckim. Podczas wojny już w 3-cim roku odsunięty, poniechany, pogardzony, wypadły z łaski, jeszcze złożył jeden memorjał za szybkim pokojem, za co Wilhelm Mściwy, drobiazgowy w zemście jak karaluch, zorganizował nagonkę i wykreślenie go z pruskiej Izby Panów. Kassandrę sponiewierano tak, że umarł wcześnie ze zgryzoty, wyspowiadawszy się przedtem w „Pamiętniku". Co ten grandseigneur, przytem wysoce intelektualny, liberalny, postępowy europejczyk w angielskim stylu musiał wycierpieć moralnie i nerwowo w służbie dyplomatycznej tak ordynarnego „radaumachera", pyskacza i wiercipięty, można sobie wyimaginować. W stosunku do Wilhelma starał sie być zawsze correct opozycjonistą J. C. Mości, w czterech ścianach uważając go **„za szewca", który źle pilnuje swego kopyta,** a chce uchodzić za artystę w... szyciu butów Edwardowi.

Drugi antagonista prof. Quidde, uczony monachijski, straciwszy cierpliwość badacza, sportretował cabochiena cesarskiego w piekielnym pamflecie p. t. „Caligula". Znawca starożytności poprostu dał konterfekt rzymskiego imperatora. Niecałych stron 120 w pierwszem wydaniu. Po wyjściu książki ludziska się nie rozeznali. Nagle padł promień czy piorun analogji. Zdrętwieli. Jakiż podobny do kogoś współczesnego. Takiż sam egoista, egotysta, egocentrysta, samolub, samochwał, gaduła, papla, pyskacz, strateg, wódz, zwycięzca, caesar, qualis-artifex, pontifex, arbiter. W dzisiejszej republice meksykańskiej taki paszkwil jak profesora Quiddego byłby niemożliwością. W carskiej Rosji publicysta Amfiteatrow (Old Gentleman) opisał dynastję Romanowych jako rodzinę Obmanowych; w cesar-

skich Niemczech podstawiono Wilhelmowi źwierciadło, w którem zobaczył odbitą gębę zwyrodniałego sadysty, militarysty i despoty rzymskiego. Jakżeby szybko „znikł“ taki Quidde w republice meksykańskiej i jaki piekielny grad oszczerstw posypałby się za „zniknięty“. W absolutystycznych Niemczech musiał jedynie na czas pewien usunąć się z Uniwersytetu, poczem wrócił, wykładał, dożył sromotnej ucieczki Caliguli do Doorn; w r. 1928 dostał nagrodę Nobla, za propagandę pacyfistyczną; w godniejsze ręce nie mogła się dostać nagroda z fundacji szwedzkiego wynalazcy dynamitu! Sporo tego bowiem materjału eksplodującego i wysadzającego w powietrze pierwsze stopnie gradusu, na którym wznosił się tron Caliguli - Caligari... było właśnie w pamflecie Quiddego.

Trzeci był karykaturzysta T. T. Heiné. Nie trzeba tego bagatelizować. Jak holenderski rysownik Raemackers fatalnie szkodził i zalazł za skórę Niemcom podczas wojny, tak przed wojną nikt nie ośmieszał dokumentniej Cezaryzmu jak karykaturzysta „Hansi“ Alzatczyk, a w Niemczech syn lipskiego bankiera Heinego, Teodor Tomasz. Nietylko on sam przez swoje genjalne parodje rysunkowe, ale pod jego przewodem i za nim cała grupa artystów monachijskich, zszeregowana w **„Simplicissimusie“** w **„Jugend”** i w kabarecie **„Elf Scharfrichter“.** Z tych malarzy i literatów wyszła potem późniejsza elita sztuki i piśmiennictwa: bracia Mann, Wedekind, Bierbaum, Hartleben, v. Liliencron, Arno Holz i wielu, wielu innych. Oni byli awangardą republikańskiego ustroju, oni byli taką zapowiedzią przyszłej wolności obywatelskiej, jaką za Bourbonów „Figaro“ Beaumarchego. Artyści bowiem zawsze i wszędzie stanowili awangar-

dę opozycyjną przeciw despocji, jaką unieśmiertelnił Beaumarchais. Artyści wysługujący się natomiast despocji, adorujący bat i soldateskę, species zresztą widziana rzadko na świecie, są już tylko pospolitą tyle że utalentowaną kanalją, wynajmowaną i płaconą tak, jak w średniowieczu włoskiem conquistadorzy wynajmowali zbirów i bravów i cyrulików, handlujących truciznami, rzucając im za to z balkonów zielone kieski ze złotem prosto w pyski. Caligulę - Hohenzollerna „Simplicissimus" głównie wyszydzał, ośmieszał, systematycznie, stale, uporczywie i bez wytchnienia. Co jakiś czas konfiskowany przez lat omal dwadzieścia demaskował w myśl dwóch zasad: **„ridendo castigare imperatores"** i **„gutta cavat lapidem et vi et saepe cadendo"**. To też kiedy po innych łaziebnikach satyrycznych zostanie takie wspomnienie, jak po tych z Herculanum i Pompei, co stręczyli do prostytucji i sami się wynajmowali prefektom i centurionom Caesara, to monachijska plejada ma tę zasługę w dziejach Niemiec, że z najwyższą odwagą cywilną batożyła szyderstwem obłąkańczego „Kriegsherra", przewidując, na jakie to rzezie naród niemiecki taki „radaumacher" wcześniej czy później zaprowadzić musi.

Najdłużej i najsystematyczniej i najboleśniej i najskuteczniej zwalczał Kajzeryzm i cały system rządzenia i personalnie „indywidualność" i charakter i intellekt Wilhelma Maksymilian Witkowski, pseudonim literacki: Harden. Pochodził z Wielkopolski z rodziny żydowskiej. Brat jego też z czasem zmienił nazwisko na Witting i został wysokim dygnitarzem. Harden był jakiś czas aktorem, potem debiutował jako recenzent teatralny, poczem przeniósł się do prasy (jako „Apostata") ale zaczął

się dopiero od momentu, kiedy zetknął się z upadłym Bismarckiem na wizycie w Warzinie przy sławnej butelce Steinbergera w r. 1892. Od tej rozmowy Harden stał się mścicielem Bismarcka, **jak wogóle orędownikiem, obrońcą, adwokatem wszystkich przez załganego Bramarbasa zepchniętych, usuniętych, szykanowanych, spotwarzanych, wygryzanych, okradanych a potem skopanych.** Harden-Witkowski założył tygodnik „Zukunft", którego poczytność z roku na rok rosła i doszła do 250.000 egzemplarzy. Inspiratorów i informatorów miał we wszystkich pokrzywdzonych przez nepotyzm i djabolizm zwyrodniałego Samochwała, między nimi także w Hohenlohem (i w ks. Aleksandrze Schaumburg-Lippe), w zakonspirowanych osobach z najbliższego otoczenia **des Obersten Kriegsherrn** i w dygnitarzach bardzo wysokich; stosunkowo najmniej w Schylockracji, aczkolwiek wśród współpracowników „Zukunft" i z ra-elity intellektualnej było bardzo wiele. Tydzień w tydzień przez lat omal dwadzieścia Harden darł pasy z uzurpatora. Choć żyd, w żydowskich zagadnieniach — bardzo solidarny ze swą rasą, nie dał się wziąść na fotografję Wilhelma z Ballinem, narady z Wahrburgami i przyjaźń z Fürstenbergami. Odrazu wyczuł, że w ten sposób (patentowany) Wilhelm (w głębi swych instynktów „chooligan") markuje i afiszuje swoją postępowość, aby mieć po swojej stronie kapitalizm i giełdy. „Herrliche Zeiten" ekonomicznego gospodarczego rozrostu nie wiązał Harden z Wilhelmem, gdyż wiedział, **że — jak wszędzie tak i w Niemczech — gospodarcza poprawa idzie mimo despotyzmu i wbrew tyranji, jako rezultat dynamiki twórczej sił całego**

**społeczeństwa a nie jako rezultat impulsów, haseł, przykazań czy powiedzeń podsłuchującego ekonomistów i finansistów pajaca militaryzmu.** Harden wiedział, że nieobliczalny katotonik swojemi straszeniami Europy, brząkaniem szabli raz po raz, ustawicznem wszczynaniem postrachu i paniki, **raczej hamuje** rozrost i ekspansję gospodarczą niemiecką, która niepłoszona eksplozjami jego gadulstwa, byłaby doszła do jeszcze większych rozmiarów. Harden wiedział, że Wilhelmoska zygzakowata polityka wobec mniejszości (mit Zucker oder Peitsche), to kokietowanie i przymilanie się i opieranie się na nich (Admiralski...), to znowu tem zacieklejsze represje, uciski i hakatyzmy (o d e r i n t d u m m e t u a n t) muszą z tych mniejszości zrobić ogniska tlącej się irredenty i przygotować ich oderwanie. Harden wiedział, ile winy ponosi sztabowa i dworska kamarylla, podtrzymująca moralnie wszystkie złe nałogi i narowy W i l h e l m a - P ę c h e r z a i właśnie wychwalająca w niebogłosy to wszystko, co w nim było złe, zgubne i zarodki przyszłej klęski zawierające. Harden wiedział, co za zdeprawowanie i spustoszenie moralne **na przyszłość** przynosi wytworzenie bożyszcza i bohatera z typu, nietylko etycznie problematycznego, ale etycznie niepoczytalnego, któremu szacunek ludzi czcigodnych był niczem a rozgłos i sensacja u reporterów świata i u mobu niemieckiego — wszystkiem. To też Harden-Witkowski walił w olbrzymi dom z fałszowanych kart Wilhelma bez wytchnienia. Tuż w Berlinie, pod samym nosem, w rezydencji ukoronowanego **faux-bonhoma** co tydzień walił mu repremendy, wykazywał komedjanctwo i małostkowość, parszywą mściwość, niekompetencję we wszystkiem, ze sprawami wojskowości

włącznie, gdzie **„Blaszany Żołnierz“** uważał się za wyrocznię...

Ćwierć wieku bowiem **der Oberste Kriegsherr** zachłystywał się i zablagowywał swą armją, przez 25 lat uchodził — coprawda głównie u cywilów niemieckich, ale i na całym świecie — za autorytet, 25 lat upajał i upijał się potęgą tej, zresztą mimo niego i wbrew niemu, serjo armji. I trzeba było aż wybuchu wojny, żeby odrazu się wydało, że ten **„Confusionsrath“** nie ma o tem pojęcia, że, co się wmiesza, to doradza głupio, że przy każdej komplikacji na frontach, on właśnie okazuje się **confusionsrathem**, defetystą i **flaumacherem**, że jako dowódca choćby tylko korpusu, mógłby jeszcze może odnieść zwycięstwo nad czeredami bosych bolszewików, ale nie byłby w możności jednej dawnej carskiej dywizji pchnąć o dziesięć kilometrów w tył. Miał widocznie w sztabie dobrych informatorów Harden, skoro tak systematycznie ostrzegał (kiedy jeszcze był czas) przed strategicznym dyletantyzmem i przed rzekomą koniecznością zostawienia głównego dowództwa w razie wojny w rękach takiej ignoranckiej **capacitas**, jaką był Wilhelm. A tymczasem Wielki Gaduła właśnie na tem tle miał największe ambicje i pretensje i to od dziecka, od chłopca. W przeciwstawianiu do chorego, miękkiego, „cywilnego Hohenzollerna“-ojca chciał być **„Hohenzollernem na koniu“**, mniej wzorowym gospodarzem i włodarzem, a więcej Wielkim Kurfürstem i Wielkim Fryderykiem z ery zwycięstw śląskich. I wychowawca Wilhelma, prof. Hincpeter i jego kolega w studjach Amerykanin Poultney Bigelow zgodni są w tem, że ideałem Kaisera w szkołach był oczywiście... Napoleon. Te typy regentów histeryków przeważnie wcześnie za-

padają na... „Napoleonitis". Zaczytują się w życiorysach największego z condottierów i rozmarzają tem, że w przyszłości będą „obalać i ustawiać trony", zmieniać mapę Europy i świata. Choroba tego kultu zostaje im do najpóźniejszej starości. Już cherlawym i zramolizowanym jeszcze się śnią epizody z epopeji Napoleońskiej. Profitują z tej choroby mózgu chytre i padalcze podchlebcy, którzy każdemu Boulangerowi i każdemu Ludendorffowi przy każdej okazji podszeptują i kuszą go posłannictwem Napoleońskiem. Taksamo było i z Wilhelmem II-gim. I tu trzeba było wysilać się na największą dynamikę w krytyce, aby uderzać w Wilhelma najsłabszą stronę. Los dopomógł Hardenowi, bo cesarz dwukrotnie na wielkich manewrach skompromitował się fatalnie i okazał kompletnym nieukiem i fuszerem. Wiedza wojskowa niemiecka zanadto stała wysoko, armja, mająca świetne tradycje, wspaniały sztab i precyzyjną organizację, zanadto była wydoskonalonym do ostateczności instrumentem potęgi, aby mogła bez szkody znosić wtrącanie się cesarskiego improwizatora, który znał się niby zresztą na wszystkiem, bo przecież szkicował dekoracje do baletów, komponował hymny (do „Aegira"!), wygłaszał kazania protestanckie, zabierał głos w sprawie... Hammurabbiego i odkryć w Assyrji... malarzy pouczał o perspektywie, historyków o historji, ekonomistów o finansach, literatów o tem, jak trzeba pisać i chciał być wszechstronnym. W oczach mas **„der Unterthanen"** w oczach szerokiego **vulgus...** pecus uchodził atoli przedewszystkiem za militarystę z krwi i kości, wojownika, ponieważ nie wyłaził z munduru (słusznie, bo w cywilu prezentował się po szewsku) a nadto trzeba przyznać, że na koniu pre-

zentował się doskonale. Byzantynizm cesarskiej epoki nie doszedł wprawdzie do tego, żeby cesarskiego „szymmla“ kazano wypychać i ustawiać w muzeum, ale jednak konterfekt Wilhelma na koniu z marszałkowskim buzdyganem w suchawej rączce zdobił mieszkanie każdego Meyera, Müllera, Hubera i Schultza przez lat dobre trzydzieści. Ale... nie do samego końca wojny.

Już bowiem w połowie wojny zaczęto w „obere zehntausend“ nieco sceptyczniej zapatrywać się na militarny geniusz **historycznego „koulissenreissera“.** Już na samym początku powołanie faworyta Moltkego (skompromitowanego nieco wplątaniem w pederastyczną aferę księcia Fili Eulenburga) zrobiło złe wrażenie; Moltke chory zresztą musiał rychło ustąpić. Świetny plan genialnego Schlieffena, opracowany w najdrobniejszych detalach psuł Kaiserwillem swojemi korrekturami; zasadnicza teza hr. Walderseego (i prof. Dellbrücka) gwałtownej, jaknajdalszej ofenzywy na Wschodzie przy spokojnej defenzywie na Zachodzie podlegała licznym zmianom. Prestige Wilhelmoski po pierwszej klapie nad Marną ratował tylko szczęśliwy wybór poważnego arcyfachowca, staropruskiego „Haudegena“ Beneckendorffa von Hindenburga. Wiedziano też powszechnie, że ten, tak ciągle i od tylu lat wojowniczo paplący **Mąciciel Pokoju** wschodniej Europy, w gruncie rzeczy swego cennego zdrowia nie naraża i do piekła rowów i lepianek nie zagląda. Ten sam bohater, który **„in schimmernder Wehr“** miał w gębie zawsze marsowe gromy: **Immer feste druff! Der Hieb ist die beste Parade! Nur keine Weichheit! Pardon wird nicht gegeben!** który w dzikim napadzie bestjalizmu **(furor teutonicus)** powiedział słynne: **Im Graben**

**aushalten und den Feind mit blutigem Kopfe heimzuschicken, bis er vor uns auf dem Knie liegt!** ten sam do tego **Graben**, dla przykładu choćby, nie zaglądał nigdy, a angielskie pismo **„Saturday Ewening Post“** wydrukowało (w sierpniu r. 1928) ustęp z listu do obecnej żony, Herminy, gdzie był taki passus, tchórzostwo ekskuzujący:

„Cała okolica pozafrontowa usiana była na kilometry dołami i wyrwami po granatach, a droga aż do samego frontu ciągnęła się milę całą. Mógłbym był więc złamać sobie nogę, wpadłszy do jednego z takich dołów, a nieprzyjaciela nie ujrzałbym nawet na oczy“.

Szeroki motłoch jednakże o tem organicznem właściwem tchórzostwie narodowego bohatera nic nie wiedział. Dopóki to tchórzostwo nie zostało wyraźnie stwierdzone sromotną fugą Bramarbasa do Holandji 9 listopada 1918 r., dopóty przez lat 30, tj. od wstąpienia na tron (1888) uchodził za wcielenie Siegfrieda, Lohengrina, Barbarossy. Szeroki motłoch czytywał panegiryki piszących o sytuacji starych, dymisjonowanych dla pisania jenerałów (von Lieberta), literatów dworskich (Kurt von Stranz) profesorów Wilhelmoskich (Bindinga, Belowa, Meineckego, Türka, żyda Meyera, historyka z Kielu, Roethego... „Sohn der Weichsel“...) „socjalisty” Fendricha, od czasu do czasu grubo płatny pean wściekłego pangermanisty Sven Hedina i temi kłamstwami lizusów autokraty ogół się karmił i patrjotycznie opijał i upajał. Zwykle w takich razach, zanim prawda obali konwencjonalną legendę, t. j. grubą patynę z kłamstw, łgarstw i pochlebstw, upływają lata, dziesiątki lat. Armja niemiecka miała bądź co bądź świetnych wodzów, ale zanim wzrosła renoma Mackenzena, Klucka, Bülowa, Belowa,

Morgena, Ludendorffa, samego Hindenburga i innych, kabotyn Oberbefehlshaber uchodził za herosa, „którego płaszcza nie tykają świszczące kule“, za wodza, który się tysiąckrotnie naraża bez potrzeby, za stratega, który rozplątuje najzawilsze batalistyczne komplikacje. To było słońce, od którego pożyczanem światłem błyszczały księżyce i gwiazdy. Innych nazwiska uczono się sylabizować, podczas gdy Samochwał, natrętnie narzucający się swą „marsową sylwetą“ i wąsiskami do góry nastroszonemi („Es ist erreicht“) uchodził za wcielenie rycerskich cnót narodu. Cesarskie rozkochanie się w rewjach i defiladach „(Paradegier“), identyfikowano z militarną fachowością. Wygrane innych zapisywano na rachunek i benefis paradującej od rana do nocy „im Feldgrau“, nieznużonej swą pozą i aktorstwem M i e r n o t y. I tak bywa często. Zanim naród dowie się, że rozdęty pęcherz jest tylko pęcherzem. że marszałek Bazaine jest marszałkoskiem zerem, austrjackie Feldzeugmejstry starymi pajacami w zielonych kogucich pióropuszach, a Mierosławski — Mierosławskim, może upłynąć i sto lat; tylko wojna serjo jest egzaminem, na którym strateg stwierdza swój genjusz i powołanie. Jeżeli wojna serjo taki rozdęty pęcherz g r a n d i l o k w e n c j i militarystycznej nie przydybie i nie zdemaskuje, może upłynąć pół wieku, a Papkin będzie uchodził za Sobieskiego, Boulanger za Foche‘a. Czasem marszałka Bazaina strąca z piedestału jedna bitwa. Czasem trzeba mozolnych prac szeregu pamiętnikarzy, historyków, specjalistów, zanim cudzemi piórkami nastroszony orzeł okaże się tem, czem jest w istocie, to jest wrzaskliwym gawronem.

Kaiserwillem dość wcześnie wywęszył spryt-

nie, że na terenie lądowym w kołach fachowych wielokrotnie konfudowany z czasem zacznie uchodzić za drugie wydanie Napoleona III, za wodza w stylu wiedeńskim, za Marsa z operetki Offenbacha, czy z „Bohaterów“ („Arms and the man”) G. B. Shawa. To też szybko ciężar swoich zainteresowań, zapałów i wścibiań przerzucił na flotę. **„Deutschlands Zukunft liegt auf dem Wasser“...** Ideę, unoszącą się w powietrzu, w r. 1848 sprecyzowaną już przez Fr. Liszta, ekonomistę, ideę nawigacji, realizowaną powoli jeszcze za starego Wilhelma, wnuk jego niespostrzeżenie zeskamotował i zrobił z niej jeszcze jedną swoją specjalność. Żyd Ballin, Anglik H. S. Chamberlain i Prusak z polskiej rodziny renegatów Cierpickich, dopiero w drugiem pokoleniu — von Tierpitz, stali się tego cesarskiego „kręćka“, tej manji, tej piły głównymi instygatorami. Podrażniona tem ustawicznie Królowa Oceanów, W. Brytanja próbowała wpływać uśmierzająco na głupio radosną twórczość opętanego nową obsessją Kaiserwillema. Działali w tym kierunku germanofil Haldane i anglofil, książe ordynat z Kuchelny (na G. Śląsku), wiedzący, do czego „Wettrüsten“ flotowe musi wreszcie zniecierpliwioną Anglję doprowadzić. Lał też zimną wodę z lodem na rozpalony pomazany łeb konsekwentny Harden-Witkowski. Nic nie pomagało. Wilhelm znalazł nowe **„Bethätigunsfeld“** dla swej nachalnej, mocno parwenjuszowskiej, ekonomskiej aktywności. Uchodząc za raczej humorystyczny, pętający się zresztą, nieobliczalny czynnik w sztabie, pragnął odegrać się i rozbłysnąć na wodzie. Skombinowawszy kilka frazesów suggestywnych **„Platz an der Sonne“... „Berlin — Bagdad”** itp. rozpalił w kontynentalnym a kolonjalnie niepredysponowanym narodzie

żądzę własnych bananów, własnych murzynów i własnych dominjów, równocześnie popełniając moc ordynarnych nietaktów i **„gemeinheiten“...** to wysyłając telegram do „Onkla Krügera“... to pozwalając na rabowanie skarbca cesarskiego w Pekinie... to nazywając Japończyków „małpami“... to tolerując sadystyczne katowania Hererów i Puttkamerunów... to wysyłając nieproszony do Waszyngtonu pomnik Fryderyka II... to znowu wysyłając do Agadiru „Panterę“... to ubierając się w Jerozolimie w kostjum króla Jerozolimskiego... to to, to owo, jednem słowem kompromitując „białych“ wobec kolorowych, Europę przed czterema innemi kontynentami i denerwując tem wstecznie - barbaryjnem, teutońskiem „kułaczestwem“ do ostateczności W. Brytanję, admiralicję J. K. Mości, biurokrację kolonjalną J. K. Mości, no a przedewszystkiem pewnego spokojnego pana z Foreigne Office... sir Artura Nicolsona, właściwego organizatora sieci, w którą po wielu, wielu latach miał wpaść **Cezar Bramarbas,** a temsamem w dziedzinie dyplomatycznej pierwszego prekursora dzisiejszej Europy, tak jak drugim prekursorem **przez wielki wpływ swojej „Zukunft“ na grupę prof. Wilsona** był nie kto inny, jak właśnie... Maxymiljan Witkowski - Harden.

I oto zbliżamy się do resumé... do ostatnich akordów i morału tej historycznej w przeszłości eskapady.

Krągło 40 lat temu wstąpił na tron ostatni Hohenzollern, a krągło dziesięć lat temu, jak ten drugi w 19-tym wieku na tronie **valereux poltron,** niemiecki **Badinguet** (tak zwano Napoleona III-ciego) poszedł, a raczej uciekł na wieczną banicję. Żyje i mieszka w tem Doorn, opuszczony, zlekceważony, poniechany, wyobcowany, z najbliższą rodziną po-

kłócony, wreszcie ośmieszony doszczętnie przez romantyczne na starość małżeństwo i skandaliczne afery swej siostry, primo voto Schaumburg-Lippe, secundo Zubkowowej. Ostatecznego upokorzenia doznał jeszcze przez monografję Emila Ludwiga Cohna, pełną litościwego objektywizmu, przebaczenia i pewnego nawet uznania za to, co Wilhelm ostatecznie zrobił dla definitywnej emancypacji żydowstwa; wobec zamordowania skrytobójczego Rathenaua, Eisnera, Liebknechta, Rosy Luksenburg i innych żydów komunistycznych w erze nastawania republiki i wobec mocnej **baissy** żydowstwa w dzisiejszem politycznem życiu Niemiec era cesarska, era panoszenia się Ballinów, Fürstenbergów, Mendelsohn-Bartholdów i Bleichröderów wydała się E. L. Cohnowi wprost Eldoradem.

Dziś w czterdzieści lat od momentu wstąpienia na tron Kaiserwillema na epokę Wilhelmowską można sobie wyrobić spojrzenie już spokojne i ująć ją jako całość. Nie da się zaprzeczyć, że z wielu względów na określenie tych trzydziestu lat jako **„herrliche Zeiten“** zgodzićby się, stojąc na stanowisku niemieckiem, można. Był to rozkwit i rozrost wprost nawet niebywały. Niemcy stały się w tym czasokresie nietylko największą potęgą militarną, ale i gospodarczą i kulturalną. Wspaniały rozmach ciężkiego przemysłu, pyszna flota handlowa, wzorowa nawigacja komunikacyjna, budowy kanałów, regulacje rzek, rozbudowa portów, zgęszczenie sieci kolejowych, handel zamorski, pierwsze fabryki sztucznych nawozów, imponująca agrykultura, nowe uniwersytety, najlepsze kliniki i szpitale świata, Krupp, Stinnes, Henckel-Donnersmarck, podniesienie Berlina do rzędu metropolji. Zeppelin i łodzie podwodne, zdobycie rynków zby-

tu na całym globie i wzmożenie prestiżu istotnie kolosalne, piramidalne. Wszystko to atoli działo się, stawało, realizowało, jeżeli już nie wprost mimo Wilhelma, to poza nim i obok niego, dzięki olbrzymim siłom żywotnym wielkiej twórczej rasy, która i po Wilhelma detronizacji, po wojnie, w republikańskim ustroju, bez pomazanego pasterza rozwija się jak to widzimy, wspaniale i to nawet po złożeniu tak wielkiej hekatomby ludzkiej na ołtarzu szału wojennego ostatniego Hohenzollerna. Współudział w tym rozkwicie Kajzera i współzasługę jego ograniczyć należy do zdolności aforystycznego precyzowania podsuflerowanych mu impulsów, programów i planów oraz do osobistego asystowania przy wszystkich inauguracjach, poświęceniach, zapoczątkowaniach i **„Stapellaufach“.**

O ile bowiem w collectivum narodowem w pewnym okresie rozbudzą się potężne siły twórcze, to zawsze profituje z wybuchu energji narodowej przypadkowo ten, kogo Los czy Fatum czy dopust Boży postawiły na czele; jego imieniem chrzci się okres, bo szerokie masy takim symbolem pomagają swojemu brakowi pamięci i swej niewiedzy. Sam Medyceusz nicby nie poradził, gdyby nie szereg genjuszów ery Medycejskiej. Zamiast wymieniać i wyliczać piędziesiąt nazwisk tych mężów zasłużonych, którzy **viribus unitis** naprzykład stworzyli **Schwerindustrie** w Niemczech, normalny burżuj i **Bildungsphilister,** upraszczając sobie światopogląd, wszystko co dobre przypisywał Kaiserowi, wszystko co złe jego... antagonistom. Ten sam objaw można było obserwować i we Francji Napoleona III., która pod jego rządami też poza, obok i mimo **L'Empeurera** doszła pod względem gospodarczym do niebywałego rozkwitu. Zre-

sztą i w Rosji za Mikołaja II i Wittego radosna twórczość i rozkwit gospodarczy były olbrzymie. Atoli „robak się lęgnie nawet w bujnym kwiecie“. I najwspanialszy rozkwit gospodarczy raz kończy się Cuszimą, tam Sedanem, ówdzie Marną...

W cesarskich Niemczech robak się lęgnął w mózgu ostatniego Hohenzollerna. Tym robakiem była megalomanja militarystyczna i pochodzące od niej fetysze: **„Kraft“, „Macht“, „Wille zur Macht“, „Macht vor Recht“, „Erziehung zur Macht“...** a wreszcie pokusa praktycznego wypróbowania wirylizacji narodu, pokusa egzaminu dojrzałości mocarstwowej, wykąpania narodu „im Stahlbad“, w kąpieli krwi obcej i własnej. I tego to „robaka w mózgu” Wilhelma II szerokie warstwy narodu, zasugestjonowane realnemi, stałemi, wielkiemi powodzeniami i sukcesami albo nie dostrzegały albo udawały, że nie dostrzegają, albo groźności jego niedoceniały. Dostrzegli i alarmowali nieliczni, a sabotowani przez „wiernych poddanych” antagoniści: Lichnowsky, Quidde... Harden i Heine, dwaj chrześcijanie i dwaj żydzi. Mózgowy uraz, myłka w intellekcie Kaizera uzewnętrzniała się przedewszystkiem plastycznie i wyraźnie w jego listach i jego telegramach, a już demonstracyjnie i klinicznie w jego mowach. Erupcje elokwencji cesarskiego katotonika notorycznie szkodziły i zaszkodziły najwięcej. W ostatnich dziesięciu latach w Niemczech poważni obywatele ze drżeniem brali do rąk gazety z nowym **speechem Seiner Majestät.** Oswojono się już z imperjalistycznym egotyzmem niepoprawnego Papli, z tem chronicznie powtarzającem się „moja flota“, „moja gwardja”, „moje czarne huzary”, „mój Strassburg”, „mój dziadek Wil-

helm der Grosse"... Oswojono się z atakami straszenia Europy lub sąsiadów, z temi błazeństwami a la Heród lub a la Iwan Groźny, w których Oberster Kriegsherr machał w powietrzu obnażonym mieczem w „ręku szalonego". Ale Europa z tem stale powtarzającem się teroryzowaniem opinji, pobrząkiwaniem szablą, mąceniem spokoju, naruszaniem równowagi i wywoływaniem wilków z lasu oswoić się nie chciała. Doszło do tego, że ze względu właśnie na Europę kanclerz Bülow musiał parlament solennie zapewniać, że tak wysyłanie warjackich telegramów jak i wygłaszanie niepoczytalnych peror będzie podlegało kontroli rządu. Doszło podczas wojny do tego, że trzy mowy bohatera narodowego poprostu skonfiskowano, a z całości paplaniny podano publice tylko drobne fragmenty. **Pod tym względem nawet w cesarskich Niemczech prestige i dobro państwa znaczyły bowiem więcej, niż chwilowa pasja i zły humor nawet takim „nymbem" globowym otoczonego Hohenzollerna.** Toteż komplet mów Wilhelma i to po ich wykastrowaniu nie jest znowu takiem **compendium paranoi,** takim stekiem wścieklizny, samochwalstwa, kalumnji i zaparcia się godności nawet ludzkiej, jakim byłby, gdyby mu lekkiego kagańca na zęby w sam czas nie nałożono. Tomu, złożonego z oracji tego autokraty, nie będzie można coprawda położyć obok tomów mów Waszyngtona czy Cavoura, Cezara lub Marka Aureljusza, Masaryka lub Wilsona, ale w każdym razie nie będzie to poprostu kupa gnoju słownego, jakiegoby się wstydzić musieli za 50 lat potomni. Zapewne, że i w nich są ordynarności i **gemeinheiten,** ale ostatecznie koprolalji i skatologji w nich niema, tak że i w przyszłości

bez wstydu Niemcy ostatecznie czytać je będą mogli.

Wulgarność zaś w oracjach ostatniego Hohenzollerna nie pochodziła z jego lekkomyślności w wyrzucaniu z siebie tego wszystkiego, co ślina na ozór przynosi, — przenigdy! To była specjalnie chytra a demagogicznym autokratom wspólna, przez wszystkich zdegenerowanych satrapów praktykowana spekulacja na gusta **Tschandali**, na popularność w hołocie, w masach. Jeżeli Wilhelm w oficjalnych enuncjacjach pozwalał sobie na styl knajpiarski, burszowski, kordygarniany, kasarniany, jeżeli używał terminów: **Saukerl, Sau-dumm... „und den letzten beissen die Hunde..." Schmarotzer.., Misthaufen.... rumänische Gauner.. japanische Affen... Schuften** (o angielskich dyplomatach), to czynił to rozmyślnie, świadomie, z premedytacją, aby swojemi wyzwiskami, obelgami, plugastwami trafić do serca i do słuchu najszerszych mas, do t. z. „boszów". Językiem Goethego i Szyllera, stylem Wielopolskiego, Gołuchowskiego, mową Chopina i Norwida do duszy motłochu się nie trafi i ulicy nie zyska. Faworyt kanalji musi znać i dobierać słowa, jakich potocznie używają kanalarze. Im bardziej się zniża i prostytuuje, im w swoim żargonie więcej „guana" zgarnie z rynsztoków, tem w szerszych mrowiach **Tschandali** ma zapewniony kult i mir, jako kość z kości. To też i **Seine Majestät,** przegrywając **w Obere Zehntausend** przez swoją „impulsywność", swoje telegramy, swoje wyskoki, bziki i kabotyństwa, odegrywał się w niekrytycznych prymitywnych miazgach, w rekruckiej „Mannschaft", w kasarniach i piwiarniach, posługując się językiem Calibana i Kannibalów. Tracąc szacunek i cześć u Niemców w narodzie **„der Dichter und**

**Denker**" zyskiwał i podtrzymywał swoją popularność u „bochów" w miazdze **„der Wichter und Henker"**, w tych czeredach i tłukach z przedmieść, z prowincji **„aus dem dunkelsten Teitschland"**, przepitych piwskiem i ryczących: Hurra Hurra! I tak uniknął... detronizacji, ale Niemcy nie uniknęły... pogromu.

Przy takim bowiem monarsze, przy takim Siegfriedzie i bohaterze narodowym wcześniejszy lub późniejszy pogrom jest nieunikniony.

Nastąpić może jeszcze za życia Turbatora albo dopiero za jego następcy.

Wtedy cała era rządów takiego Siegfrieda jest tylko uwerturą do **debacle**, do wielkiego rozrachunku dziejowego w następnej generacji.

Organizowanie największej i najsprawniejszej potęgi fizycznej, akkumulacja bogactw, kapitalizacja, rozrost gospodarczy, powodzenie finansowe i ekonomiczne nie dają jeszcze żadnych solidnych fundamentów pod budowę gmachu państwowego, o ile maksymą rządzącą **statemackerów** staje się narzucone przez Kaiseryczna indywidualność starorzymskie **oderint dum metuant** i autokratyczne wewnętrzne: **vae victis!** Jedne po drugich walą się mocarstwa, które ślepo i obłędnie powierzają ster typom, cezaryczną manją opanowanym. Nietylko bowiem państwa, ale i mocarstwa mogą być sezonowe... Szybko padło arcydzieło Fryderyka II (pod Jeną), szybko Napoleona (pod Waterloo), szybko Napoleona III (pod Sedanem) i szybko Wilhelma II (pod Marną). A kiedy Kaizer odnosił swoje największe dyplomatyczne sukcesy w Europie, kiedy na zmarszczenie jego „marsowego" czoła musiał ustąpić Delcasse (declassé), nie było na 60 miljonów ani jednego Niemca,

któryby wonczas nietylko mógł przewidzieć, ale mógł mieć po piwie sen zmorny, że za lat dziesięć „ustąpić“ będzie musiał W. Rex. Imperator.

Nie przewidywali też tak straszliwego finale nawet walczący z byzantynizmem i z kultem takiego bohatera narodowego jego antagoniści: Quidde (autor Caliguli), Lichnowsky, T. T. Heine...

Nie przewidywał takiej tarpejskiej skały i Harden-Witkowski. Wciągnął się w walkę polemiczną z byzantynizmem, jako mściciel Bismarcka i ideowy kontynuator systemu i programu żelaznego kanclerza, właściwego, bezsprzecznego twórcy potęgi Niemiec. Jako realista wiedział, że mocne emporium stworzyć mogą charaktery demoniczne... Cromvell, Katarzyna, Elżbieta, podtrzymać je „zjadacze żelaza“ „młoty“ typu Hastings, Drake... ale utrzymać je nadal w sile i zdrowiu tylko Wespazjany, Justynjany, Lincolny, Cavoury, przenigdy zaś pyskacze potęgi, łowcy popularności, lizacze tłumów, mieszańcy, charaktery problematyczne, niejednolite, aktorskie. Sprytny i głęboko mądry żyd, widząc jak żydostwo niemieckie staje się ostoją i awangardą tego cezaryzmu a przeczuwając, że ta dekadencka odmiana tego cezaryzmu wcześniej czy później słabiej lub mocniej skompromitować się musi, pragnął zmontować żydowską intelektualną antycezaryczną grupę, placówkę i twierdzę, któraby swem istnieniem i działaniem stwierdziła, że nie wszyscy żydzi szli tłumem za rydwanem takiego Caliguli — innemi słowy: **reasekurował żydostwo niemieckie.** Były lata, że jego „Zukunft“ drukowała się w 250.000 egzemplarzach i cieszyła niebywałem wzięciem. Były to atoli sukcesy żyda wśród żydów i doskonałego literata. Zaczytywano się w jego tasiemcach i delektowano jego sarkazmami; imponowały jego

potworna wiedza, oczytanie i świadomość wszystkiego, co się dzieje w Europie za kulisami i co w trawie piszczy. Kaizerowi dokuczał, ale nie szkodził i nie zaszkodził, gdyż jego impet i furja przeciw ucieleśnieniu niejako indogermańskiej potęgi i rasy szły raczej na karb jego garbu, jego żydostwa. Zbyt hałaśliwi, natarczywi i zażarci w zwalczaniu aryjskiego despoty żydzi w społeczeństwach aryjskich raczej mu w opinji poddanych pomagają niż szkodzą. W ten sposób **a rebours** podświadomie i ten żydowski publicysta dopomagał w procesie rozdymania cesarskiego pęcherza, zaczem i w następstwach tegoż: w rozpanoszeniu obłędu militarystycznego, przyspieszeniu wojny, pogromu dynastji i zmianie ustroju na republikański.

Wogóle bowiem i w rzeczywistości pióro wobec takich fenomenów-kuriosów bywa bezsilne. Napoleona III zwalczał rdzenny Francuz, wicehrabia Henryk de Rochefort w swej „Lanterne" całemi latami, udawadniając Francuzom, że to pajac i erotoman; walił w niego Victor Hugo gromami ze swego wygnania a Badinguet ani drgnął na swym stolcu, aż dopiero przyszedł Sedan.

O ile się bowiem sam naród nie ocknie i nie zacznie leczyć z hypnozy takiego Turbatora i Gloriosusa i o ile jego kamaryli i kliki nie zdławi, Sedan przyjść musi, tak jak po dniu przychodzi noc, a po zimie wiosna, po jesieni zima. Dopiero **„Stahlbad"** leczy narody z bałwochwalstwa, „zjadaczów ludów" **Demovoresów,** z febry byzantyńskiej, z kultu siły i nic poza siłą, z **„Macht vor Recht", z „vae-victis", z materjalistycznej demoralizacji i z „niesprzeciwiania się złu"**, o ile pod berłem zła można dobrze się najeść i wyspać, o nic się nie troszczyć,

w nic nie wtrącać i za nic nie brać odpowiedzialności.

Po Sedanie wraca naród do moralnego zdrowia i poczytalności. Wtedy i „mocarstwo sezonowe“ staje się normalnem, w hierarchji państw na właściwem miejscu ustabilizowanem państwem.

KONIEC.

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000277264
I 417970